Lwów, 20. Stycznia. №9. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Byciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za nast. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każ. dorazowe umieszczenie. Bioro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tak spokojnie na oko przeszedł cały czas oddalenia pana Stefana, który nie wprost do domu, ale do powiatowego miasteczka zajechał, bo mu widać tęskno było za przyjaciółmi i dawnemi znajomemi, i ztamtąd przyzostawszy sam u podkomorzego, bryki do Serebrzyniec odesłał.

Wieczorem tegoż dnia wiedział już o tem Hawnul przez Żużla, i znać było po sposobie w jaki przyjął wiadomość że go mocno obeszła. Nazajutrz rano gdy zaturkotało przed gankiem i bryczynka pana Żyrmuńskiego zabiegła przed dwór, niepokój się wszczął wielki. Hawnul sam nie wyszedł przeciw niemu. Wysłał trzech dowiedzieć się naprzód kto przyjechał, a gdy mu doniesiono że Żyrmuński, powoli i jakby z ostrożnością wyszedł ku niemu. Od procesu o Pogrudzie stosunki ich z sobą całkiem się były zerwały, mogły więc odwiedziny te zadziwić Hawnula, i w istocie z jakimś strachem, niepewnością, oczekiwaniem czegoś przerażającego wysunął się z pokoju żony, jak winowajca, gospodarz domu.

Żyrmuński zwykle potulny i pokorny, teraz przybrał był minę uroczystą, strapioną i prawie surową; na twarzy jego widać było, że nie na darmo i nie z dobrem przyjechał do Krasnego. Hawnul widać to postrzegł czy przeczuł zaraz i pobladł, usiłując przybrać minę obojętną.

— Ha! cóż to tak niespodziewanego gościa w dom mój sprowadza? począł, nieokazując po sobie przykrego jakie doznał wrażenia... Co mi to waćpan dobrodziej rozkażesz?

Żyrmuński zdaleka się skłonił.

— Gdyby można, rzekł po cichu, prosiłbym na stronę dla pilnej i ważnej sprawy.

Hawnul drgnął jakby weń spodziewany strzał uderzył.

— Chodźmy, chodźmy do ogrodu, odezwał się głosem zmienionym.

Nieczekając wyszli oba, a oddaliwszy się kroków z pięćdziesiąt ode dworu, zatrzymali w ulicy otwartej, gdzie nikt ukryty posłyszeć ich niemógł.

— Cóż to tam takiego? zapytał Hawnul, wpatrując się w adwokata.

— Mości panie, odpowiedział surowo Żyrmuński, porzucimy daremne ceregiele i formuły, jam tu waszmości wprowadził do Krasnego i ułatwił mu nabycie majętności, mnie też przystało go przestrzedz o tem co mu dziś zagraża. Niemam w tem interesu, ale prostą litość...

— Litości nademną! krzyknął Hawnul, mnie coś zagraża! co to jest! enigmata jakieś!

— Przymuszasz mnie waszmość żebym się szerzej wytłumaczył; zrobiłeś sobie nieprzyjaciela, drażniąc o tę łąkę JMPana Wilczurę, którego głos w powiecie wielki i słowo znaczące, dziś nawarzonego piwa wypić potrzeba. Jeździł pan Stefan do Wilna, a czego tam na waszmości napytał, niewiem, dość że głośno się z tem odzywa, że zgubić go może jednem słowem.

Na chwilę Hawnul niemógł mówić, tak mu usta ścięło, spuścił głowę, zawahał się, ale rychło podniósł czoło i krzyknął:

— Niechaj gubi! niech gubi! zobaczymy co to za ciekawość przywiózł z Wilna.

— Ale to nie są czcze pogróżki, rzekł Żyrmuński, ja znam pana Stefana że na wiatr słowa nie rzuci, byle mu gadać, i kiedy co wie, to wie dokładnie. Ja tam nie domyślam się jakiego kaduka waszmość masz na sobie, wszelako przestrzedz go sumienie mi kazało. Wczorajszego dnia wieczorem na kolacyi u Bruderkowskiego, wszczęła się rozmowa o mogile na Pogrudziu, a pan Stefan odezwał się do nas: Ba! ba! teraz on mi nie straszny, mam na niego taki oręż, którym go pobiję, bylem usta otworzył. Co wiem to wiem, przyjdzie czas powiedzieć, taić nie myślę, dośc mi sadła zalał za skórę... Musisz sobie waszmość wystawić, jakie to na towarzystwie uczyniło wrażenie.

Słuchał Hawnuł i gniew zeń już już miał wybuchnąć, ale się poskromił, zrobił nawet minę pokorną i przecedził przez zęby.

— Zobaczymy, zobaczymy... co to tam tak strasznego! Ludzkie języki gorzej żmyi kąsają, ale się ich czyste nie obawia sumienie. Co mi zrobić może?

Widać jednak było pomięszanie choć udawał spokój, zakręcił się i po chwili namysłu dodał:

— Dziękuję panu za radę, jeden to dowód życzliwości, jaki mnie tu spotkał... Nie wiem, może mi podróż moją z powodu tych pogróżek wstrzymać przyjdzie.

— A dokądżeś się to pan wybierał?.. spytał Żyrmuński.

— Mam tam trochę interesu koło Wilna, odpowiedział zmięszany i unikając spojrzenia w oczy wymierzonego Hawnul; potrzeba będzie pojechać! tak! tak! potrzeba!!

Żyrmuński widząc że dalej nic z niego nie wyciągnie, bo szlachcic zdawał się cały w myślach zatopiony, pokłonił się i nie czekając więcej, co prędzej z Krasnego ruszył nazad, kieliszka nawet wódki ani kawałka chleba nie skosztowawszy, bo go gospodarz wcale zapraszać nie myślał.

Tylko co bryczyna odjechała, posłał gospodarz po Żużla.

— Jedź waćpan do miasteczka, rzekł do niego i najmij mi cztery konie z bryką żydowską do Wilna, niech tu dziś wieczorem będą.

— A na cóż JW. panu najmować kiedy są swoje? zapytał Żużel.

— Czy ja waćpana trzymam do rady czy do exekucji?- zawołał groźnie Hawnul,

Żużel zamilkł bo dojrzał z oczów humoru, z którym żartować nie było bezpiecznie.

— Gospodarstwo oddaję na twoje ręce, dodał pan Samuel, żonę pod waściną opiekę, i proszę żebym tu zastał wszystko w porządku... A kto się spyta gdziem jest, rzekł z przyciskiem, powiedzieć, żem do Wilna pojechał, słyszysz waść!!

Zużel poleciał do miasteczka natychmiast, i sprawił się tak żywo, że w godzin parę już konie najęte były w stajni. Hawnul się znać przysposabiał do drogi, bo go widać nie było, z izby żony jego tylko dochodziły szepty, rozmowa urywana i niekiedy łkania boleśne. O zmroku jakoś zaszła bryka, a Hawnul nagadawszy jeszcze Żużlowi, jako się ma sprawować, siadł w nią i sam jeden, nie wziąwszy nawet chłopca do usług, odjechał.

Tymczasem pan Stefan odwiózłszy córkę do klasztoru powrócił do domu w wyśmienitym humorze, czy to że zaspokoił umieszczeniem jej serce swe ojcowskie, czy że jak się z tem dawał słyszeć, miecz przywiózł na zawziętego sąsiada. Nie tail się też z tem wcale, że byle chciał, hardego przekorę powali jednem słowem o ziemię, ale jak to był człek roztropny i wiele baczący na każdą czynność, choć niby na oko z pierwszego popędu wszystko czyniący, z niczem się więcej nad to nie wygadał.

Naciskano go pytaniami, ale dyskretnie milczał, uśmiechając się i zbywając ciekawych ni tem ni owem.

— At, at, zachcieliście, zobaczycie, siedzi cicho, nie otworzę gęby, póki mi nie da powodu.. Nie bocian jestem bym świat z gadów czyścił, niech go tam Bóg kocha...

Częste jednak wspominanie o bocianie naprowadzało na domysły, że nie lada fraszkę miał pan Stefan za nadrą a tajemniczy sposób życia i niewiadome pochodzenie Hawnula, Bóg wie czego dogadywać się dozwalały. Jego zaś nie było i nie było, jak pojechał do Wilna gdyby w wodę wpadł, słudzy nie napadali na Serebrzyńce, i zgoda panowała między dwoma wioskami. Ale zajadłość dwóch gromad przeciwko sobie nieustawala, pańska waśń zawieszoną była, wieśniacza stała pod spodem. Czarne i czerwone pasy kłóciły się na granicach, po gościńcach i byle powodzik stawały do boju.

Stało się jednego dnia, że pastusi, pasący trzodę Serebrzyniecką niedaleko granicy Krasnego, pousypiali w krzakach, niewiedzieć z kąd zjawiło się tam kilka ludzi Hawnula.

— A co! zawołały czarne pasy, jakbyśmy wpędzili ich bydło na nasz grunt i zabrali? Niechby się powróciło za asze szkody przeszłoroczne, a mało to tam wołów naszych poprzepadało?

Rada nie była długą, nagnana trzoda prawie cała przeszła na grunt Krasnego, a choć tam nic posianego nie było i szkody na pasze zrobić nie mogła, przyskoczyli Kraśniańscy i zapędzili ją wnet do wioski. Żużel w wielkim był kłopocie gdy to postrzegł, ale nie miał sposobu wykręcenia się, obawiając się pana za powrotem, chłopi też zaraz bydłem rozporządzili i słuchać nie chcieli żeby go oddać.

W Serebrzyńcach larum okrutne, włościanie pobiegli do dworu ze skargą, trafili jeszcze na zły humor pana Stefana, a ten im na głos powiedział:

— Cierpliwości moje dzieci, cierpliwości, diabli wezmą tego przybłędę... już miarki dosypał, dłużej go nie pożałuję, zobaczycie jakiego mu piwa za bydło nawarzym.

Naturalnie bowiem, choć Hawnula od miesiąca w domu nie było, jemu i nakazom jego przypisał pan Stefan tę grabież.

Tegoż dnia zbliżało się wielkie polowanie w Serebrzyńcach, gości zjechało się hukiem, a gospodarz nie szczędził sąsiada, i dał się z tem słyszeć kilkakrotnie że Hawnula zdemaskuje... Przy kieliszkach nie jedno cierpkie słówko z ust wyszło, którego się nie obrachowywało...

— Niech no tylko wróci, rzekł wreszcie pan Stefan, damy mu tu bankiet, jakiego jeszcze w życiu nie kosztował i wyświecim go z Krasnego.

Słowa te rozeszły się po sąsiedztwie błyskawicą, poszły po wioskach, po chłopach i dalekim odbrzmiały echem. Żydzi już nawet po karczmach pogróżki te powtarzali. Ale na tem się skończyło, wyraźniej nic nie powiedział jeszcze Wilczura, przynajmniej publicznie, choć może przed poufalszemi przyjaciółmi sekretu się zwierzył, bo dziwne dziwy na Hawnula rozpowiedać poczęto, tak że słuchaczom włosy na głowie powstawały.

Kilka dni trwało owe polowanie na wilki u pana Stefana, wszyscy Serebrzynieccy pobereżnicy, strzelcy, gajowi, szlachta czynszowa okoliczna i gromada z obławą udział w niem mieli. W istocie polowanie było tylko pretextem do zabawy. A wymyślano codzień inną. Zrana trochę napukano w kniei, śniadanie zastawiono w lesie, i trąbiąc a hucząc powracano do domu, gdzie ledwie spocząwszy roz-

poczynano harce na koniach, strzelanie do celu, do wyrzucanych jaj i pieniędzy, do śliwek i t. p. wyprawiano wyścigi, zasiadano do kart i butelek, a wesoła myśl i ochota trwały często dobrze za północ do trzech kogutów. Już to w przyjęciu gości nie miał sobie równego pan Stefan i umiał honeste grać rolę gospodarza, wszystkim dotrzymując kompanii, zachęcając, prosząc, animując, aż miło. To też nigdzie się tak nie bawiono jak u niego i pamiętne były zjazdy w Serebrzyńcach. Teraz przecie czy mu to bydło tak zajechało do głowy, czy humor co innego popsuło, ale pan Stefan był nie swój i choć się trzepał jak mógł, ale widocznie nadrabiał tylko rezonem, a w sercu mu było tęskno. Starano się go rozerwać, ale na próżno, uśmiechał się powtarzając: Starość nie radość, a łza stała w oku.

Najweselsi ludzie miewają takie dnie w życiu kiedy ich radość i humor odbiegają, nie wiedzieć dla czego, a śmiechu nie nakazać to darmo. Szło wszystko swoim porządkiem i koła gościom pozdejmowano, pojono, raczono, ale gospodarz chodził osowiały i nie swój. Czwartego czy piątego dnia po tej historyi z bydłem, udało się Serebrzynieckim złapać gajowego Kraśniańskiego (którego posądzano że należał do spisku na stado) z parą wołów w lesie pana Stefana. Przyprowadzono go do dworu, a w gniewie Wilczura kazał mu wyliczyć dwadzieścia odlewanych, młode byczki poobwieszać, a wóz porąbać i spalić.

Gajowy odszedł z płaczem i gniewem w sercu do domu Nazajutrz było polowanie, ostatni dzień, ostatnia knieja i pewne gniazdo na zakąskę zachowane, a właśnie tak wypadło że ostęp po za Wilczem polem i Semenową barcią był w nie zajęty.

Starzy strzelcy rozstawiali myśliwych i wiedzieli że zwierz spłoszony przez huczków iść będzie od cypla błotem, łoziną krzakami, przez Pogrudzie, mimo Czerczej mogiły, przedzierając się ku lasowi, na drugim brzegu błotka leżącemu.

Krągiem więc po nad skrajem lasu stanęli goście, niektórzy w krzakach na Pogrudziu, inni na Wilczem polu rozmaicie rozłożeni tak, aby wszystkie przesmyki zajęli.

Jesienny ranek był prześliczny, trawy i liście ośrebrzone rosą obfitą, powietrze orzeźwiające, woń lasów i jesieni miła i jakąś tęsknotę do duszy wznosząca. Bory chwiały się poruszane zaledwie lekkim wietrzykiem chwilami, a ptastwa chmury czynnemi przeloty dzień pracy rozpoczynały. Stary Jurko Remeń który rozstawiał gości, panów i strzelców, rokował o tym dniu najlepiej, ale czy się zadurzył, czy z losu tak wypadło, pana Stefana nie umieścił, aż się opatrzył dopiero przy Czerczej mogile. Nie zdawało mu się stosownem pana tam stawić i niewiedział co począć, gdy Wilczura zawołał na niego że w łozach podle tego miejsca chce zostać.

— Ej! paneńku, rzek Remeń, miejsce nie osobliwsze, ciężko żeby tu co wyszło, choć ścieżynka jest, ale wilk weźmie górą.

— At! co pan Bóg da, odparł Wilczura; myślno o gościach żeby strzelali, a ja choć z nabitą powrócę to my to sobie wynagrodzimy...

Został więc pan Stefan nieopodal od Czerczej mogiły i zrazu lisią jego czapkę po nad łozami widać było, ale w w krótce czy przysiadł czy gdzie przeszedł, bliżej stojący już go nie dostrzegli.

Tymczasem puszczono psy, zagrały, huczki poczęli wołać i kijmi o drzewa walić, a strzelcy w cichości oczekiwać zwierza... O podal na skraju lasu jeden strzelił, gdzieś w tyle drugi huknął, oba pudła, bo psów nie nawoływano. Aż i koło mogiły puknęło, siny kłębik dymu podniósł się w czyste powietrze, i cicho jak uciął.

— Oho! nasz pan, znam jego gwintówkę, rzekł Remeń, już coś ubił... ani chybi starą wilczycę... i cicho siedzi.

Bliżsi strzelcy ciekawi co pan Bóg dał, bo niesłyszeli i niepostrzegli żeby się co mimo nich przemykało, poczęli zaglądać, ale ani pana Stefana na stanowisku, ani zwierzyny nie dojrzeli. Nareszcie w gorętszej wodzie kąpany Bruderkowski posunął się kłusem, znikł w zaroślach i nuż rozległ się krzyk jego.

— O la Boga! nieszczęście! ratuj kto w Boga wierzy. Ratujcie!

Że psy jakoś ustały były gonić, bo trop zgubiły w borze, i cicho do koła było przez chwilę, posłyszano głos podsędyka, a kto żyw począł zmierzać ku miejscu, z którego się odezwał.

Pięciu czy sześciu znaleźli się zaraz na stanowisku gospodarza, ale tu go nie było, a pomiętoszone gałęzie i świeże ślady wskazały im ku mogile. Tu straszny w istocie widok ich uderzył.

Pan Stefan leżał na wznak na ziemi pod samą Czerczą mogiłą z gwintówką w ręku, krwią pierś mając zbroczoną, ustami mu też obficie krew buchała.

— Co to jest! przypadek, postrzelił się, zawołali nadbiegający, czy kto go postrzelił? Na mnogie przestraszonych przyjaciół zapytania, Wilczura nic odpowiedzieć nie mógł, tak się z niego krew lała. Podnieśli go, orzeźwili, zaczęli opatrywać i dopiero się opatrzono, że kulą w plecy był strzelony z tyłu, a piersią mu strzał ów wyszedł.

Nie można było pojąć jak się to stało, gdyż nikt z kilku najbliższych strzelców fuzyi nie miał wypróżnionej, nikt nawet tak nie stał by mógł w tę stronę strzelić, a zwierz żaden nie szedł. Stary Remeń przypadłszy do śladów pana, z płaczem począł się orientować, i w dârni kurchanu o kilkanaście kroków znalazł kulę, do której go kierunek strzału domniemany doprowadził. Kulę tę zaczęto zaraz przymierzywać do strzelb wszystkich, ale do żadnej nie przyszła.

Pan Stefan mówić nie mógł, żeby o wypadkach objaśnić, złożono go na wóz niedaleko stojący z żywnością, powieziono do dworu. Przerwało się polowanie, a straszliwe jakieś podejrzenie uderzyło niemal jednocześnie wszystkich. Spór z Krasnem, powieszenie wołów, plagi dane gajowemu przyszły im na myśl, i choć raniony objaśnić ich nie mógł, poczęto się dorozumiewać zemsty która przezornie czas sobie i miejsce dobrała. Właśnie Wilczura padł u mogiły, której rozkopanie rozwiązało spór o łąkę i otwarło wrota wzajemnym dwóch namiętności waśniom. Można sobie wystawić jakie wrażenie wypadek ten zrobił na zgromadzonych, którzy się jęli śledzić, badać i wzięli do serca to morderstwo, które się im zdało umyślnym.

Rozesłano po doktorów, ale jak na toż jedynego najlepszego ktoś był zabrał, a w Polesiu przed kilkadziesiąt laty lekarz był wielką osobliwością, drugiego nie zastano także w domu i Wilczurę baby wiejskie i stary znachór leczyli. Krwi nie było sposobu utamować, choć ją zamawiały najprawniejsze lekarki. (C. d. n.)

NA WIEKI WIEKÓW.

Boską tę prawdę wiara nam niesie,
Że inne istnieją światy;
Więc choć człek stanie przy ziemskim kresie,
W przyszłość jak król jest bogaty.
Nowe się przed nim życie otwiera,
I świat nieznany, daleki,
On się na przeszłość swoją obziera
I mówi: Na wieków wieki!

Kiedy przechodzień spotka przechodnia,
Boskiem go słowem powita,
Odbiera słowa nawet od zbrodnia
W których myśl boska ukryta.
— »Niech pochwalony pan Bóg nasz będzie«
I choćby brodził wśród rzeki,
Albo się mijał na ciasnej grzędzie,
Odpowie tamten: „Na wieki“

Gdy syci życia świat ten rzucamy,
Ciemna się przyszłość otwiera
Choć najpiękniejsza lecz jej nieznamy
A przeszłość z nami umiera:
W tenczas świat ziemski tutaj zostaje,
Ktoś nam zamyka powieki,
Nam tylko krzyżmem boski znak daje,
I mówi: «na wieków wieki.«

Kiedy do wieków świat nas odseła
Więc przeszłość pójdzie za nami,
I ziemskie pójdą za nami dzieła
Co je przyniesiem tam sami.
I nowe zejdzie znowu zaranie,
Z ludzkiej wyjdziemy opieki,
Tam będzie trwałe dusz naszych zlanie,
Bo będzie: na wieków wieki.

Władysław Siemoński.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Nie upłynęło roku od owego dla rodu Junoszów bolesnego zdarzenia, a nieszczęścia kraju wzmogły się do krwawych rozpraw.

W Barze wywieszono chorągiew nowego stronnictwa, a cały kraj, od brzegów Baltyku aż po stepy czarnomorskie wyglądał jak jeden wielki obóz, jedno olbrzymie bojowisko. Płynące na cztery części świata rzeki roznosiły krew bratnią morzom odległym, a z każdą falą uchodziły mnogie powieści bohaterów bez imienia, w krainę wiecznej niepamięci.

Pod niebo Ukrainy wzbiły się dymy z tysiąca wsi spalonych, i miast pięćdziesięciu, sto tysięcy dusz uleciało zawcześnie z ciał ziemskich, a złożywszy przed tronem sędziego skargę krzywd swoich, odziało się w białe męczeństwa szaty! Wreszcie ostygły noże hajdamackie, ale krew Abla lała się jeszcze długo po ziemi znękanej. Rozmnożył się ród Kaima i był liczny jak piasek w morzu, a źrenica obcych omgliła się łzą nieszczerą, jak oko płaczki na cudzym pogrzebie!...

Nie widziano jednak w Warszawie tych krwawych znaków na niebie, a jeżli coś z opowiadania zasłyszano, tłumaczono sobie to w sposób jak najdogodniejszy. Wystąpił nawet uśmiech radości na lica mieszkańców, gdy ujrzano Franc. Ksaw. Branickiego, wyruszającego na czele tatarskiej brygady ułanów, w celu powstrzymania buntów Ukraińskich. Szczerze błogosławili rodacy ochronnej broni walecznego zastępu, nie wiedząc, że ta broń uderzy w pierś bratnią!..

Dzień czerwcowy, piękny i pogodny, miał się ku wieczorowi, gdy jeździec samotny, na karym rumaku wjechał w zacień lasów janowskich. Miał on na sobie płaszcz z szarego sukna, czapkę głęboko na oczy wciśnioną, i w olstrze widać było okucie pistoletów. Zapuszczając się coraz dalej w las gęsty, oglądał się bacznie na wszystkie strony, stając czasami i słuchając pilnie, iżali nie nadniesie mu co w ucho wietrzyk wieczorny. Ale głucho było w lesie, i coraz ciemniej, a drzewa i gałęzie wiązały się co raz gęściej i tamowały mu drogę. Nie wiedzieć, czy las był tak wielki, czy błądził podróżny, ale już daleko po północy być musiało, a las coraz gęściejszy, noc coraz ciemniejsza była, a nawet cisza wydała mu się co raz cichszą.

W tem zdala zawiał z wiatrem jakiś głos ludzki — jakieś błysło światełko. Jeździec zwrócił tam konia. Po chwili ściągnął wodze, spiął się w strzemionach i słuchał. Był to śpiew i znana mu nuta:

Dawid niedźwiedzia, lwa potem zwycięża,
Olbrzyma mocą Twoją bez oręża,
Zwierz, olbrzym, luter, kalwin z szyzmatykiem
Niech giną z procy, Dawida kamykiem!

Moc Twoja hardych niech potłumia wstydem,
Daj nam pokorny psalm śpiewać z Dawidem:
„Pan siłą moją, ucieczką, obroną"
Ufaj i śpiewaj w głos polska korono! *)

— To barski — mruknął jeździec i stał przez chwilę. Potem spiął się na siodle jeszcze wyżej, zajrzał, i z wolna znowu ruszył.

Śród kniei, pod sosną tlało nie wielkie ognisko, a przy niem siedział w rogatej czapce męższczyzna i nabożnie z książki śpiewał. Szelest przerwał mu śpiew pobożny, a ręka jego spoczęła na szabli.

— To on, rzekł z cicha jeździec, i wyjechał z krzaku.

— Hasło! krzyknął konfederat.

— Stanisław August, mój pan — odparł zimno jeździec, nie dobywając ani szabli, ani pistoletów.

— Wróg, zawołał konfederat — poddaj się!

— Porucznik ułanów Byszewskiego nie poddaje, ale bierze jeńca! Broń się!

Konfederat ścisnął rękojeść szabli, aż stal się ugięła ale lica jego zbladły, a usta zadrgnęły.

— O czemuż nie mam broni na wroga!

— Masz szablę — a gdy ci będzie dogodniej, to zleźę z konia! Znasz sztukę krzyżową? W Barze doskonale ją praktykują!

— Daj mnie szablę, a rozpłatam wam obom głowy!. Moja, dodał z uśmiechem bólu, złamała się na łbie podobnego tobie, przed chwilą!

— Musiała być z blachy, jak wasze armaty!..... Ale, żebyś wiedział, że król lepsze demeszki rozdaje niżeli Puławski, to weź moją szablę, idź z panem Bogiem, i bij się dobrze.

— Aeterne Deus! żaden Junosza nie brał broni z rąk żyjącego przeciwnika!

Tymczasem odpiął jeździec z pod płaszcza szablę i rzucił ją do nóg konfederata.

Na szabli błysnął jakiś herb złocony. Konfederat podjął ją, spojrzał i krzyknął:

— Szczęsny!

— Marcinie!

I otworzyły się ramiona dwóch braci Junoszów, bo w tej chwili przemawiała krew ich, i pociągała ku sobie. Ale wnet upadły wyciągnione ręce, brew się najeżyła, bo nieprzyjaciele stali przeciw sobie.

*) Pieśń konfederatów barskich, śpiewana na nutę: „Kto się w opiekę".

— Szedłbym za konwinkcyą serca, ale przysięga konfederacyi nie pozwala mi mego charakteru zkorumpować. Szczęsny, tyś wrogiem moim.

— A tyś moim jeńcem. Lecz najprzód pozwól, abym zsiadł z konia i trochę odpoczął. Pogadamy nieco.

Konfederat pomógł ułanowi królewskiemu uwiązać konia i gurtu popuścić, a czynił to w przekonaniu, że sumienia swego bynajmniej nie zmaże. Odnośnie do przysięgi konfederacyi wytłumaczył sobie, że *hostilitas* między nimi przeminęła, a nastąpiło: *armistitium.* Ręki jednak bratu nie uścisnął.

— Nie będę cię się pytał, co tu w lesie porabiasz, bo rzecz prosta, że podczaszy litewski musiał was tu mnogo nagubić, gdy ze Lwowa uciekał. Ale czas by już był, abyście się zebrali, jak rozsypane owieczki, w jednę trzodę, i waszego prawowitego pasterza, którym jest miłościwie nam panujący Stanisław August, przebłagali i mu submisyę waszą jawnie okazali.

— Najmiłościwiej panujący nam Stanisław August odparł konfederat, jest zdrajcą na własnej ojczyznie, bo z wolnego katolickiego narodu, uczynił służebny i heretycki. Dobrze mu też raz Dzierzanowski powiedział.

— Dzierzanowski, szambelan? ten awanturnik, cóż mu mógł powiedzieć?

— Opowiadał on dnia jednego królowi, jak go dzicy Afrykanie tam gdzieś królem obrali.

„Jakżeś stracił swoją koronę? zapytał się Stanisław. A Dzierzanowski na to: Oto najjaśniejszy panie obrany byłem królem przez naród wolny, który spostrzegłszy, że go chcą ujarzmić, wygnał mnie." I nie bardzo dobrze miał tę aluzyą wziąć król Stanisław.

— Rozsądny nie powtarza słów awanturnika, i nie da niemi się skonwinkować. Wy to, wy czynicie bunt i sprzeciwiacie się zbrojno najlepszym króla zamiarom. Oto teraz on nas wyseła naprzeciw hajdamackiej tłuszczy, a zamiast animować nasz ferwor do tak pięknego celu, wyrzucacie kalumnią na nas, i nazywacie nas Kaimami.

— Bracie, carissime, już to konfederat barski wie lepiej o planach waszego jenerała artyleryi, niżeli porucznik ułanów brygady tatarskiej. Waszą Ukrainą i waszym celem jest — Bar.

— A gdyby nawet i tak było, to wierz mnie, że Branicki nie chce rozlewu krwi bratniej, idzie tylko, aby tę katastrofę uprzedzić, aby perswazyą nieposłusznych skonwinkowawszy, przywieść ich do opamiętania, mając moc pardonowania i konserwowania każdego przy jego randze i traktamencie. Branicki dostał rozkaz od króla, dążyć do tego, nawet z największym azardem wojsk swoich. Król bo chce perswadować konwinkcyą, a nie żadną forsą, chce zbłąkanych, częścią uludzonych przygarnąć do siebie i zasłonić od zguby i straty. Mówił nam jenerał, że odchodząc z Warszawy odezwał się król do niego w te słowa

Wysełam cię jak ową gołębicę z arki na wody potopu — przynieś mi zieloną gałązkę. Powiedz złudzonemu narodowi, że go kocham, że wolałbym sam na swojej osobie ponosić azardy i przeciwności, niż choć najmniejszą cząstkę kraju mego widzieć ginącą. A wy nazywacie tego dobrego króla zdrajcą...

— Nie będę konwinkował opinii twojej, bo sam się we Lwowie przekonasz, jak twój król najmiłościwszy i jego przyjaciele obłąkanych do siebie przygarniają. Zapewne ty jesteś kuryerem Branickiego, bo takiego języka dostaliśmy — i wieziesz list do komendanta Lwowa, jenerała Korytowskiego. Właściwie powinienem ci głowę zdjąć z karku lub powrozami związać, a list do komendanta lwowskiego i 200 dukatów, które mu od Branickiego na jakieś tam furaże wieziesz, przejąć, a konia i moderunek *pro bono publico* zarekwirować. Ale żeś, jak widzę, z wszystkiego tego się wyspowiadał, co tylko Branicki do komendantów pisze i co wam gada, a wy wszyscy powtarzacie, toż nie chcę już twego listu, chociaż w nim wyraźnie stoi, że jenerał artyleryi stoi obozem w Rohatynie, a z tamtąd wprost na Bar idzie. Że ta konwinkcya i perswazya na sucho nie pójdzie, o tem wiedział najmiłościwszy król Stanisław, dodając tej gołębicy pokoju w pomoc felczera Lazyniego. Widzisz, że wiem o wszystkiem i że w waszych znakach są ludzie, co z konfederacyą trzymają. Powiedz Byszewskiemu, że jego ułani wiedzą lepiej, co się w Barze dzieje, niżeli ich jenerał artyleryi w. ks. litewskiego. I dwieście dukatów zostawiam przy tobie bo komendant Lwowa potrzebuje ich na furaże, jak mu to już jenerał Grabowski dawniej był napisał. Oddawszy list atoli, wyszukaj księdza Janiszewskiego a on ci opowie niektóre ciekawe rzeczy, o których się dowiaduje w kordygardzie, towarzysząc delinkwentom do szubienicy!

Vale — dwa dni czekam na ciebie w tej kniei... Ale, gdyby cię *aliquid humani* spotkało, a jabym cię nie miał po czem poznać — to weź ten pierścionek żelazny z ukrzyżowanym Chrystusem.

To wymówiwszy wstał z ziemi konfederat, a spojrzawszy jeszcze raz na brata, znikł w zaroślach kniei.

Długo za nim patrzał porucznik ułanów — wydobył z zanadrza list Branickiego pisany do komendanta Lwowa — wyjął i dwieście dukatów i odliczył, a znalazłszy wszystko w porządku, schował napowrót i w dalszą puścił się drogę.

Nie w dobrym był już humorze ulan brygady tatarskiej, gdy ujrzał kopułę św. Jura. Dziwne myśli skakały mu po głowie, które aż krzyżem świętym odganiać musiał.

Wreszcie stanął przed mieszkaniem jenerała Korytowskiego, komendanta Lwowa. Była tam i druga komenda, wojsk sprzymierzonych, ale ta miała do czynienia z szubienicą i batożkami.

Oddawszy jenerałowi listy i pieniądze, wyszedł na rynek, dopytując się wszędzie o księdza Janiszewskiego. Wreszcie znalazłszy go, wlazł z nim do celi i przez dwie godzin z wielkim rozmawiał zapałem.

Po tej rozmowie wybiegł porucznik z klasztoru i wprost do jenerała pospieszył.

— Co żądasz waść — zapytał jenerał — respons dostanie Branicki przez Warszawę osobnym kuryerem pod adresą Ogrodzkiego, jak to sam w liście sobie życzy. A waść udasz sie za nim pod Bar. Przywieziesz mi wiadomość o wzięciu Baru.

— Nie po tom tu jenerale przyszedł, abym dalszych twoich słuchał rozkazów, ale chcę ci powiedzieć, że jako szlachcic przeciw wszelkim waszym machinacyom protestuję, i was o zdradę rzeczypospolitej publicznie oskarżam! Inaczej wystawiono nam rzeczy w Warszawie, konfederatów nazywano buntownikami i hałastrą, a oni są prawdziwymi synami ojczyzny!

Jenerał wypatrzył się na porucznika, ścisnął pięści i wyprostował się z dumą.

— Komu waść służysz?.. — krzyknął po chwili.

— Służyłem królowi, póki mi oczu nie otworzono — a teraz idę do Baru.

— Chcesz być buntownikiem! Szkoda cię, walny z waści ułan!..

— Toż taki sam będzie i konfederat!

— Wątpię, odparł jenerał — a znasz ty ordynans komisyi wojskowej? Ot, tu leży — słuchaj: „Odnośnie do konstytucyi anni 1609 stanowi się: że ktoby bez dozwolenia i wiedzy hetmańskiej czynił bunty i sedycye, albo konsilia i schadzki, a tem więcej konfederacye jakie: ma być gardłem bez łaski karany, a gdzie ujachał, *infamis ipso facto* ma być. Widzisz waść, co cię spotkać powinno. Wszelako żeś mnie przyniósł listy pożądane, nie chcę waści karać za ten nierozsądek, którego spodziewam się, żałować będziesz. A jeżli waść byłeś na jakim traktamencie, to idź i wyśpij się.

Zawrzała krew w sercu Junoszy, wybiegł na ulicę, a znalazłszy tam wojskowych drugiej, czynnej komendy, powtórzył w głos, i z wielkiem zgorszeniem całej publiki swój protest prawomocny.

We Lwowie tracono podówczas buntowników hajdamackich. Komenda wojsk sprzymierzonych prowadziła inkwizycye i wydawała wyroki. Trzydziestu zwykle na dzień wieszano. Stało się atoli jednego dnia, że miasto trzydziestu powieszono jednego więcej. Lud mówił cały dzień o tem, że przekroczono liczbę, w zwyczaj codzienny weszłą, nikt atoli nie wiedział prócz księdza Janiszewskiego, że ten trzydziesty pierwszy nie był hajdamaka, ale porucznik Junosza.

Konfederat w kniei czekał nadaremno!

. . . .

Rok później, w pierwszych dniach czerwca, przybył

Kazimierz Puławski z bratem Franciszkiem do Przemyśla i tamże solennie akt konfederacyi odnowili. W kilka set ludzi postąpili z tamtąd pod Lwów, chcąc go szturmem opanować.

Załogą we Lwowie dowodził jenerał Korytowski, adherent królewski, a dowiedziawszy się o zamysłach Puławskich, odpór stawić przedsięwziął.

Konfederaci uderzyli na miasto od przedmieścia halickiego, a opanowawszy stojący śród domów kościół karmelitów, z wielką zaciętością walczyli.

Pożar kościoła i przedmieścia halickiego zmusił ich do odwrotu.

Na przeciwnej stronie miasta, na górze oświetlonej łuną dogorywającego kościoła, rozkopywał konfederat kupę kości, z szubienicy zrzuconych, a znalazłszy na palcu jednego szkieletu żelazną obrączkę z krzyżem, przyklęknął i kości do piersi przycisnął.

— Obiecałem cię uścisnąć, — przymówił do kości — gdy tego godny będziesz — przychodzę dotrzymać słowa!

Krwawo buchła łuna z gruzów kościoła, a przedmieście rozsypywało się w kupę węgli i popiołu! (C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Z Tarnowskiego.** *Przegląd ogólny gospodarstw w r. 1854 w gubernii krakowskiej.* Rok 1854 zaczęliśmy otoczeni, prawie obleżeni przez ofiary niedostatku, a może i wstrętu do pracy jaki coraz więcej w naszej klassie exwłościańskiej objawia się; zaradzając potrzebom ubiegającego życia z nich prawie, niemogliśmy go wszędzie podtrzymać, i wielu z nich z poczynającą wiosną, rzemiosło swoje żebractwa śmiercią zapieczętowało.

Dalej powołani urlopnicy otwarli miejsce zdolniejszym choć mniej chętnym do pracy, i ta była najzbawienniejszem lekarstwem, i życie im zachowała. Nastąpiło i sianożęcie, smutne, bo deszcze codzienne przeszkadzały zgromadzeniu traw, i sprawiły w końcu prawie powszechny wylew. Nie zostawił on wprawdzie, że czas był bardzo spokojny, wiele mułu po polach, zawsze jednak dotkliwa szkoda elementarna zapisuje się, z nadmienieniem: że od gradów lubo z początku wiosny tu i owdzie przerzuciły, niewiele nawidzeni byliśmy.

Z początkiem żniw jakaż nagła odmiana? Byliśmy jak w kraju cywilizacyi, tego przekonania, że praca jest kapitałem niewyczerpanym, zawsze do utrzymania siebie wystarczającym, gdy żebractwo zupełnie ustąpiło. Po tak dotkliwym, prawdziwie polskim przednowku, jaki po mniejszych miastach i do klasy rzemieślniczej zajrzał, kiedy lud żywiący się otrębami i tym podobnemi surrogatami nowego ziarna doczekał, niemieliśmy do pierwszego żniwa robotnika, chociaż u siebie, co potrzeba było, właściciel mniejszy najmując choć do małego kawałka, pozbierał. Stagnacyi takiej dziesięć dni zrządziły: że najbujniejsze kłosy przy późnem żniwie pospadały, i plon tegoroczny o wiele mniejszy, jak zboże na łanach obiecywało, temu ociąganiu zawdzięczać mamy. Przyczyniło się to niemało do wysokich cen zboża, jakie zaraz z nowego mieliśmy. I ztąd każdy cenę pracy sobie podniósł, a przy licznej konkurencyi i sami jeszcze ją podnosić zmuszeni byliśmy.

Drogość zatem, przy wielkich wydatkach, gospodarzowi większemu nietyle więcej dochodów netto przynosi, rzemieślnik przy powołaniu licznej czeladzi pod broń ma zawsze robotę i stósowne wynagrodzenie, handlarz z kapitałem w rękach, przy bardzo znacznych zamówieniach do magazynów wojskowych z wysokim procentem obraca swą gotowiznę, urzędnik tylko i kapitalista bezczynny utyskują, gdy dochody ich nie powiększyły się. Taki to łańcuch społeczeński, że jedno ogniwo tylko kosztem drugiego powiększone być może.

Znowu przy końcu żniw, kiedy każdy najemnik niechcąc stworzyć sobie potrzeb życia, pracując tylko z konieczności, cokolwiek się odżywił, i zaczął odpoczywać, nastało powtórne kryzys na właścicieli większych, że ani reszty pozbierać, ani roli i ziarna do siewu przygotować nie mogli. Każdy wtenczas przypomniał sobie bajkę Krasickiego o dyamentach i kaszy, gdy za pieniądze jakie miał i chciał pracy nabyć, nie było chętnych do podjęcia takiej zamiany. Dla tego znaczne straty w owsach, potrawach (gdy tych miejscami kosą nie tknięto) ponieśliśmy. Przez to siewy opóźniliśmy, każdy albowiem mając niekompletną czeladź, bydło robocze wśród pilnych robót puszczał w tabon, bo go niemiał kto obsługiwać, niemiał kto niem pod zasiew roli uprawiać. Dla tej czeladzi, aby nas nie odchodziła, kiedy ją przez zimę przeżywimy, nie mamy dołąd praw obowiązujących. Są prawda dawne: ale dla zaszłych zmian socyalnych wszystkie władze ich ignorują, i jesteśmy „á la discretion“ każdego służbę podejmującego zostawieni. (C. d. n.)

* **Obrazek z burzy czarnomorskiej.** W pierwszej chwili po strasznej burzy listopadowej nie można było powziąć wyobrażenia o całej jej okropności. Po wszystkich kątach świata porozrzucane rozbitki gromadząc się teraz lub dając wiadomość o sobie i o losach swych współtowarzyszy, uzupełnia ą dopiero teraz ten obraz. Sroga to była burza! Podczas gdy w Konstantynopolu zmiatała złote dachy i wysokie wieże minaretów, które przez długie wieki opierały się spokojnie wszystkiem orkanom, na morzu Czarnam łamała maszty jak cienkie spruchniałe pręty, rwała liny grubości człowieka, lub tysiące cetnarów ważące łańce kotwicy jak słabą nić pajęczą, i jakby to łupiny orzechow były, tak rzucała okrętami największemi, a gdzie uderzyła niemi o skałę, tam rozbiła je w najdrobniejsze kawałki Times oblicza szkody na 30 milionów złr. m. k. Ale to są szkody materyalne, bezpośrednie. Daleko większe są szkody pośrednie, a jeszcze większe moralne.

Burza zniszczyła wszystkie potrzeby wysłane dla armii: żywność, napoje, lekarstwa, odzież zimową, namioty i t. d. A w skutek tego tysiące dziś giną w obozie, na pobojowisku i w szpitalach, czytamy jeremiady o nędznym stanie armii angielskiej. Naród angielski, niedawno dumny w najwyższym stopniu z swej potęgi, dziś przestraszony prawie smutnemi wieściami z Krymu, uderza zaciekle na stojących u steru rządu, i całą winę na nich zwala.

Przypatrzmy się jednej scenie z owej pamiętnej burzy, zaszłej u ujścia rzeki Kaczy. Ośm brygów, wiozących konie i żołnierzy, rzucanych było na falach wzburzonego morza, jak piłki. Co chwila uderzały na nie wały morskie i pokrywały je powodzią, co chwila rozbijały się brygi same, uderzając wściekle na siebie. Z brzegu przypatrywali się oficerowie i kozacy rossyjscy, czekając na zdobycz. Z ośmiu okrętów w przeciągu półgodziny zniknęło cztery. Szczątki okrętów i rozbitków chwytali kozacy, skoro je fala na brzeg wyniosła.

Rossyjscy oficerowie, przybyli z Sebastopola, powstrzymywali kozaków od okrucieństw. Przytem z brzegu dawali znak kapeluszami i chustkami, walczącym z falami morza, iż spokojnie do brzegu przybić mogą. Wieczorem jedna barka duża, rzucona falą szybko pędziła ku brzegom, gdzie stali kozacy, śpiewający wesołe pieśni lub z dzikiemi okrzykami radości uwijający się około trupów, wyrzuconych na brzeg morza. Po jednej stronie barki trzymało się rękami i nogami do 30 ludzi, między niemi matka z dziecięciem w jednym ręku, a drugą ręką trzymająca się masztu. Okręt wnet w lewą wnet

rawą stronę wnet przodem tułowu miotany w fale, to znikał na chwilę wraz z ludźmi pod powodzią, wnet wyrzucony był od orkanu wysoko po nad wał wodny. I gdy już właśnie zbliżał się do brzegu, a kozacy już po kolana w wodę wbiegli aby opanować okręt, fala rzuciła go znowu wstecz. Rozgniewani kozacy, iż im łup uszedł, chwycili za karabinki, i wystrzelali wszystkich, trzymających się konwulsyjnie masztu lub poręczy barki. Ugodzone zostało i dziecię. Matka trupa jeszcze silniej przycisnęła do siebie lecz w kilka minut i ją kula trafiła. Jęk padającej przeszył powietrze. Lecąc w morze chwytała jeszcze rękami, chcąc ująć dziecię, aby z nim razem zginąć w otchłani morza.

* We czwartek dnia 18. przed trzecią z południa przybył do Lwowa z powrotem z Wiednia Cesarzewicz Jegomość Arcyksiążę Karol Ludwik. U rogatek oczekiwał Cesarzewicza zastępca burmistrza, radca Höpflingen, z wydziałem miejskim. Przed rezydencyą wystąpiła kompania grenadyerów pułku Lichtenstein z chorągwią. Naczelnicy wszystich władz kościelnych, wojskowych i cywilnych w uniformach galowych oczekiwali przybycia Cesarzewicza Jego Mości. Arcyksiążę Karol Ferdynand, feldmarszałek porucznik i zastępca komenderującego czwartą armią przyjmował Cesarzewicza na czele jeneralicyi i korpusu całego oficerów. Cesarzewicz, przyjechawszy otwartemi sankami, wstrzymać je kazał przed frontem kompanii honorowej wojska, a wysiadłszy i przywitawszy się z Swym Dostojnym Kuzynem, przeszedł szeregi, poczem defilować kazał. Po defiladzie wszyscy udali się na pokoje dla oddania hołdu i złożenia Cesarzewiczowi życzeń z powodu szczęśliwego wyjścia z niebezpieczeństwa, w którem się znajdował z powodu zetknięcia dwu lokomotywów pod Lublaną, z których w jednej jechał Cesarzewicz Jego Mość.

* Pierwszy bal fusion wypadł nie bardzo pomyślnie. Mężczyzn było bardzo wielu, lecz kobiet tylko 25.

* Na redutę pierwszą zebrało się jedynie do 80 osób. Masek było 14.

* Słuchacze prawa na tutejszym uniwersytecie mają dać dwa bale w tym karnawale, podobnie jak to czynią wiedeńscy.

* Żałoba dworska z powodu śmierci królowej sardyńskiej, trwać ma aż do 1. lutego. Królowa Adelajda była córką ś. p. Arcyksięcia Rajnera, byłego wice-króla Lombardyi.

* We środę grano w teatrze tutejszym komedyjkę: R a b u n e k. Gniewano się iż na afiszu stało p o r a z p i e r w s z y. Nie słuszne gniewy, bo istotnie po raz pierwszy grana była pod tym tytułem: Dawniej bowiem grano ją pod tytułem: U ł a n i pod tym samym napisem drukowana jest w dziełach Dmuszewskiego. Zresztą gniewający się mieli już dosyć czasu do przekonania się, iż zawsze prawie zapowiedziane p o r a z p i e r w s z y odnosi się w teraźniejszych afiszach do nowo sfabrykowanego tytułu, nie do sztuki.

* Wszystkie poczty, mające najmniej 10 prenumeratorów otrzymały od wydawcy jeden egzemplarz Nowin gratis.

Przyjechali od dnia 17. do 19. Stycznia do Lwowa.

PP. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Mysłowski Alfons, ze Koropca. Wysocki Floryan, z Hrechorowa. Hubicki Zygmunt, ze Złoczowa. Tustanowski Władysław, z Kulikowa. Czajkowski Waleryan, z Nadycza.

PP. Dzieduszycki Władysław, hr. z Jezupola. Barański Karol, z Chłopczyc. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Wiśniewski Ludwik, z Putjatycz. Kielanowski Tytus, z Zelechowa. Bykowski Stanisław, z Boratyna.

Wyjechali dnia 17. do 19. Stycznia ze Lwowa:

PP. Dzieduszycki Aleksander, hr. do Lachowic. Malczewski Henryk, do Gniłowód. Rosnowski Franciszek, do Tartakowa.

PP. Chyliński Adolf, do Wysocka. Czermiński Juliusz, do Glińska.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19 b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr. .	126⅝	Pożyczka 5% 83	4½ —
Hamburg za 100 tal. banco	92¾	Akcye banku	1031
Londyn za 1 funt szterl.,	12 12	Kolej północna	1985
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind. . . . . . . ,	75½
Paryż za 300 franków .	147	Nowa pożyczka z loterya	102 1/16
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa . .	87½

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	51	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	„	5	„	55	„	5	„	58
Półimperyał zł. rosyiski	„	10	„	9	„	10	„	12
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	58	„	1	„	59
Talar pruski	„	1	„	53	„	1	„	55
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	25	„	1	„	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	„	90	„	50	„	91	„	10
Obligacye. indemnizacyjne z kuponami		75	„	15	„	75	„	40

Lwów 19 Stycznia. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. — kr. do — złr. — kr. — Żyta po 27 złr. 30 kr. do — złr. — kr. Jeczmienia po 21 złr. — kr. do 23 złr. 30 kr. Owsa po 19 złr. 45 kr. do — złr. — kr. Grochu po 29 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do 22 złr. — kr.— Ziemniaków po — złr. —do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 35 złr. — kr. do 40 złr. Sosnowego po 30 złr. — kr. do — złr. — kr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 6 złr. — kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. 25 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**